WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 29 8 MARCA 1977 R CENA 1.50 ZŁ

O tych którzy ryzykując własnym życiem niosą pomoc innym przeczytasz na str. 5

VI ZJAZD ZHP

ZOSTAŁO PIĘĆ DNI DO ROZPOCZĘCIA „OPERACJI 50"!

Za 20 dni rozpoczyna swe obrady VI Zjazd ZHP. Poprzedzają go różne inicjatywy i przedsięwzięcia zastępów, drużyn i szczepów podejmowane z okazji tego ważnego w życiu naszego Związku wydarzenia. Jednym z nich będzie akcja oznaczona kryptonimem „OPERACJA 50", która trwać będzie przez tydzień, od 13 do 20 marca br. – pierwszy etap Harcerskiego Raportu Zjazdowego.

1 czerwca 1973 r. Związek Harcerstwa Polskiego podjął patronat nad budową szpitala-pomnika Centrum Zdrowia Dziecka. Do dnia dzisiejszego na koncie funduszu budowy znajduje się 44 mln zł wypracowane własną pracą harcerek i harcerzy. My, członkowie ZHP, chcielibyśmy, aby w dniu otwarcia VI Zjazdu suma ta wynosiła „okrągłe" 50 milionów. Stąd nazwa, a **przed wszystkimi zastępami zadanie, żeby w ciągu przyszłego tygodnia zebrać brakujące 6 milionów – organizując powszechną zbiórkę surowców wtórnych.**

Redakcja nasza czeka na Wasze meldunki z realizacji tego zadania! Na kopertach zaznaczcie – „OPERACJA 50".

CO DALEJ ÓSMA KLASO

DZIŚ CZYNNY TELEFON **21-47-06**

Przypominamy: **dziś, od godz. 15.00 do 17.00 w redakcji „ŚM" (Warszawa) czynny jest telefon dla ósmoklasistów, którzy mają kłopoty z wyborem zawodu. Podajemy adresy interesujących Was szkół. Wyjaśniamy wątpliwości. Staramy się doradzić i pomóc w podjęciu decyzji.**

Jeśli jeszcze się wahasz – zadzwoń! Czasu pozostało niewiele!

66 lat „Błękitnych"

LUBLIN (HSI). Przed 66 laty przy Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Staszica w Lublinie powstała pierwsza w tym mieście drużyna harcerska, popularnie zwana do dziś „Błękitną Jedynką". Z okazji obchodzonego niedawno jubileuszu, na terenie szkoły odbył się uroczysty apel, w trakcie którego 18 chłopców i dziewcząt, uczniów I klasy, złożyło przyrzeczenie harcerskie, a 55 starszych stażem aktywistów, działającego na terenie szkoły szczepu HSPS otrzymało stopnie instruktorskie. Komitet Rodzicielski szkoły ufundował dla zwycięzców wielu podsumowywanych z tej okazji konkursów i współzawodnictw nagrody. W drugiej części uroczystości członkowie zespołu artystycznego „Błękitnych" przedstawili specjalnie przygotowany program poetycki. **(mh)**

DINOZAURY... POD WARSZAWĄ

WARSZAWA (PAP). W Powsinie powstaje pod patronatem Polskiej Akademii Nauk ogród botaniczny, który zajmie przestrzeń ok. 200 ha. W ogrodzie mieścić się będzie Muzeum Ewolucji, wzbogacone przez placówki PAN cennymi eksponatami. Będzie to jedno z ciekawszych muzeów przyrodniczych w skali światowej. Ukaże rozwój flory i fauny na Ziemi – w kolejnych erach i okresach geologicznych, wyjaśni pochodzenie zwierząt domowych i roślin uprawnych.

Osobliwością będą dinozaury. Szkielety tych zwierząt, jak wiadomo, odkopali polscy paleozoolodzy pod kierunkiem prof. dr Zofii Kielan-Jaworowskiej na pustyni Gobi w Mongolii. Zaginiony, a obecnie rekonstruowany świat sprzed 150 mln lat ukaże się naszym oczom w tym przedziwnym ogrodzie.

Przewiduje się, że dinozaury staną na zewnątrz gmachu Muzeum Ewolucji. **(dr)**

ŚNIEGOWE RZEŹBY

Zima już minęła. Każdy z nas ma na swym koncie budowanie pałaców śniegowych i postaci bałwankami zwanych. Bałwanki są dobre dla maluchów – stwierdził uczeń VI klasy Szkoły Podstawowej nr 54 w Warszawie. Bartosz Szymański czekał na dzień, w którym śniegowe tworzywo nadawało się do pracy. I wreszcie zaczął rzeźbić. W efekcie twórczej działalności na skwerku przed domem na ulicy Brukselskiej, gdzie mieszka – powstały ogromne, wyższe od samego autora, rzeźby. Wiosenna aura zniszczyła już „Śnieżną Panią" i „Śnieżnego Pana". A może niedługo w tym samym miejscu obejrzeć będzie można rzeźby wykonane z innego tworzywa? **(mh)**

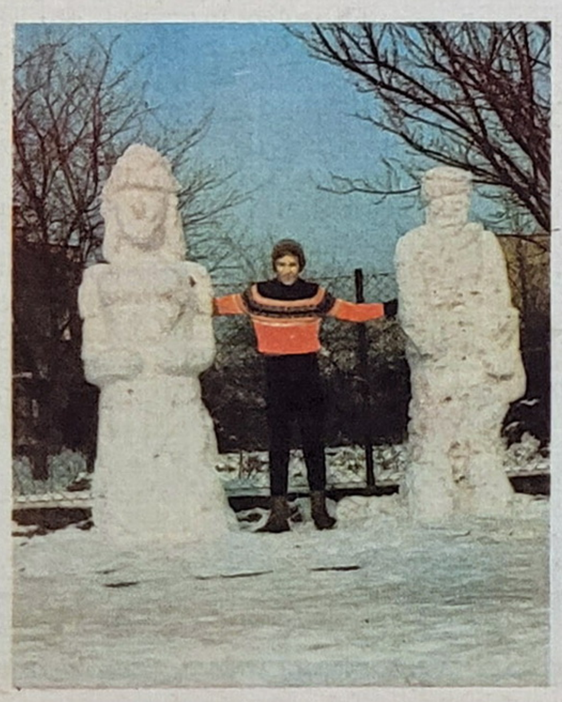

Fot. **K. Adamowski**

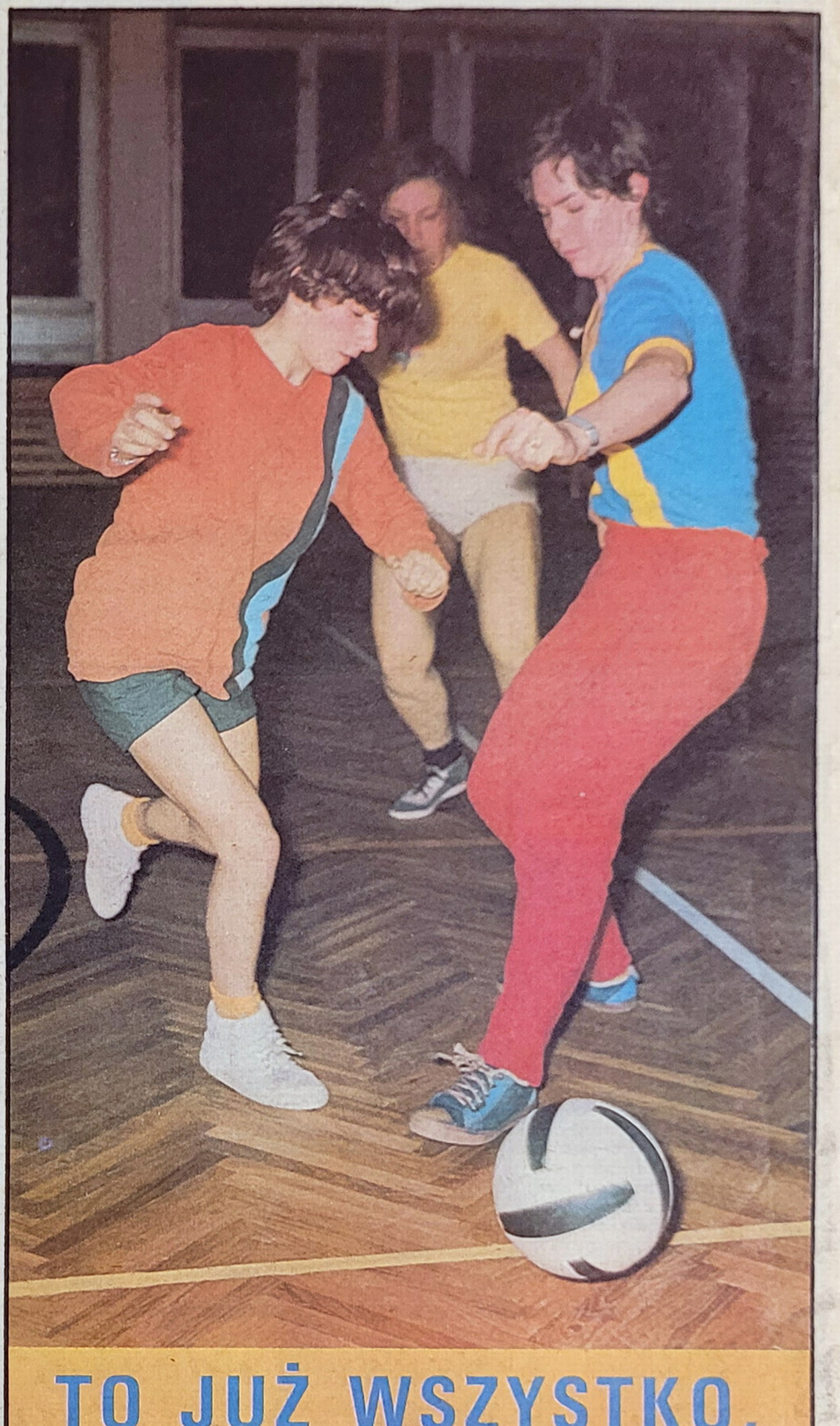

TO JUŻ WSZYSTKO, MOJA ŚLICZNA!

Nie skarżyłem się, gdy siadłaś za sterami samolotu, stanęłaś obok mnie przy frezarce i objęłaś dowództwo pełnomorskiego statku. Wolno Ci i godziłem się z tym, choć – przyznam – moja męska duma cierpiała trochę... Pogodziłem się również z tym, że wyruszyłaś w kosmos, a ja musiałem dzieciom papkę gotować. Liczyłem na to, że zostanę dyrektorem... Zostałaś Ty i sięgnęłaś nawet po tekę ministra.

Cieszyłem się w duchu, że przynajmniej na piłkarskim boisku jestem niepodzielnym królem, że dla Ciebie jest miejsce tylko na trybunach. Wtargnęłaś jednak i tu. Kopiesz piłkę nie gorzej ode mnie. Ba! z taką gracją i wdziękiem, że trudno się nie zachwycać. Padł więc mój ostatni bastion. Oddałem Ci już wszystko, moja śliczna! Jesteśmy wszędzie razem. Przyjmij więc kwiatek w dniu swojego Święta, bo on tylko w Twoich dłoniach jest prawdziwie piękny.

Fotoreportaż J. Łopuszyńskiego i M. Szymańskiego z treningu drużyny RKS „Okęcie" *na str. 3*

Dziś przedstawiamy:

KŁOPOTY ONZ

Zgodnie z artykułem 102 Karty Narodów Zjednoczonych każdy układ i porozumienie międzynarodowe zawierane przez jakiekolwiek państwo członkowskie „powinno być najszybciej jak to tylko możliwe zarejestrowane w Sekretariacie i przez niego opublikowane". Od roku 1946 Sekretariat zarejestrował około 15 tys. międzynarodowych aktów prawnych. Według niektórych ekspertów około 5 tys. układów i porozumień nie zostało jednak zarejestrowanych, czy to z powodu zwykłego niedbalstwa, czy też z dążenia do utrzymania ich w sekrecie przez strony zainteresowane. Niektórzy sądzą, że pewne państwa, przyjęte niedawno do ONZ, być może nawet nie wiedzą o obowiązku rejestracji i nie znają odpowiedniej procedury. A procedura jest dość prosta, bowiem wystarczy przesłanie do siedziby Sekretariatu ONZ fotokopii oryginału układu lub porozumienia.

Oryginały porozumień obustronnych przechowywane są zgodnie z praktyką międzynarodową przez rządy państw, które porozumienie to podpisały. Natomiast Sekretariat przechowuje oryginały około 250 wielostronnych umów i konwencji międzynarodowych o dużej liczbie uczestników. Wszystkie teksty aktów międzynarodowych przesłane do ONZ są publikowane w periodycznie ukazujących się zeszytach zatytułowanych „The U.N. Treaty Series". Ostatnio ukazał się kolejny 895 zeszyt z tej serii. Akty prawa międzynarodowego drukowane są w oryginalnych językach państw, które je zawarły a ponadto w razie konieczności w przekładzie: angielskim i francuskim.

Pomimo, iż historia wykazuje, że wiele układów międzynarodowych nie wartych było nawet papieru, na którym zostały spisane, z roku na rok coraz więcej porozumień jest negocjowanych i podpisywanych. Ilość tych porozumień wzrasta tak szybko, że ONZ musiała uciec się do pomocy komputerów. Mimo zastosowania tej najnowocześniejszej techniki oficjalne wydawnictwo ONZ spóźnione jest o około 4 lata w stosunku do stanu rzeczywistego.

Pierwszym układem międzynarodowym o charakterze dwustronnym zarejestrowanym w Sekretariacie był Układ o Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy zawarty między Jugosławią i Polską a podpisany w Warszawie w marcu 1946 roku. Układ ten został spisany w języku polskim i serbochorwackim oraz przetłumaczony na języki angielski i francuski.

Warto przypomnieć, że zgodnie z Kartą NZ, jeżeli dany akt międzynarodowy nie zostanie zarejestrowany w ONZ, to żadne państwo nie może powoływać się na postanowienia takiego aktu przed jakimkolwiek organem ONZ, łącznie z Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości.

(b)

PROBLEMY I DYSKUSJE

DOMY KULTURY *czy* DOMY HOBBISTÓW?

Upowszechnienie kultury, aktywizacja kulturalna środowiska, budzenie zainteresowań kulturalnych – taka była idea powstawania domów kultury 30 lat temu, na początku walki z analfabetyzmem kulturalnym w naszym kraju. Obecnie dyskutowana jest potrzeba istnienia zakładowych i innych domów kultury, które w większości nie zaspokajają aspiracji kulturalnych środowiska, a ich kierownicy stają na głowach, aby te placówki ożywić i zapewnić frekwencję na imprezach i zajęciach. Niezależnie od tego, czy ich model jest doskonały, czy odpowiada dzisiejszym potrzebom, domy te istnieją. Czyżby więc należało je zburzyć? A może zmienić, tylko jak?

Domy kultury miejscem rozrywki

Domy kultury powstawały w czasie, gdy nie było dostatecznej sieci bibliotek, kin, muzeów, a nawet szkół, gdy nie istniała jeszcze telewizja. Spełniały wówczas wiele różnych funkcji, zapewniały niekiedy jedyną rozrywkę, w ośrodkach prowincjonalnych udostępniały też swoje pomieszczenia na wszelkiego rodzaju imprezy, zebrania. Tam przyjeżdżało kino objazdowe, teatr, wojewódzka czy stołeczna Estrada. Dzięki nim rozwijał się ruch amatorski w dziedzinie sztuki, a młodzież znajdowała możliwości spotkań z rówieśnikami i interesujących zajęć; później skupiało ludzi po prostu wspólne oglądanie telewizji.

Różne były i są domy kultury – źle pracujące, dobre i te z dużymi osiągnięciami. W końcu dokonały one i ciągle jeszcze dokonują wiele dobrego w dziedzinie upowszechnienia kultury, w edukacji kulturalnej społeczeństwa i za to im chwała. Jednak obecnie wydaje się konieczna zmiana modelu tego rodzaju placówki kulturalnej, konieczność przystosowania jej zarówno do potrzeb użytkowników, jak i zmienionych warunków życia. Dziś na wsi jak i w mieście większość mieszkańców posiada własne telewizory, a rozgałęziona sieć bibliotek, ich działalność oświatowa, stałe kina, teatry, działalność Estrady, placówek muzycznych, oświatowych, organizacji społecznych, a w końcu i szkolnictwa

stworzyła wachlarz różnych możliwości zaspokajania potrzeb kulturalnych i wyższe aspiracje kulturalne społeczeństwa w całym kraju.

Dom muz

Czymże więc ma być dom kultury i jakie będą jego zadania? Mówi o tym Włodzimierz Sandecki, dyrektor Departamentu Bibliotek, Domów Kultury i Działalności Społeczno-Kulturalnej Ministerstwa Kultury i Sztuki w wywiadzie udzielonym dla Interpressu:

– Otóż dom kultury na wsi, w osiedlu mieszkaniowym czy dzielnicy, powinien być ośrodkiem pozaszkolnej edukacji artystycznej, rozwoju uzdolnień artystycznych dzieci, młodzieży i dorosłych, ośrodkiem realizacji ambicji twórczych. W domu kultury powinny działać ogniska artystyczne, pracownie plastyczne, zespoły amatorskiego ruchu artystycznego. Potrzeba nam też nowych form usług kulturalnych, takich jak możliwość korzystania z foto-laboratorium, studia filmowego czy pracowni ceramicznej. Tak pomyślane domy muz poprzez swój program i oddziaływanie ideowo-wychowawcze będą ważnym czynnikiem integracji środowiska, pomocnym w kształtowaniu więzi społecznej i tworzeniu tak ważnych patriotyzmów lokalnych. Mogą to być domy wszystkich muz, bądź wyspecjalizowane. Specjalistyczne domy kultury, np. muzyczne, teatralne czy filmowe, mogą być tworzone w większych miastach, co pozwoli na koncentrację fachowej kadry i wyposażenia. Entuzjasta sztuki przyjedzie i z odległej dzielnicy, jeżeli będzie to dom z prawdziwego zdarzenia. Wychowanie przez sztukę, aby było skuteczne, musi być realizowane przez fachową kadrę. – Od 3 lat w 16 wyższych uczelniach na wydziałach pedagogicznych kształci się specjalistów w zakresie pracy kulturalno-wychowawczej. Od drugiego roku studenci tego kierunku muszą np. specjalizować się w poszczególnych dziedzinach sztuki, tak, by dysponować odpowiednią wiedzą z danej dziedziny.

Przeciw schematom

Wykształcona kadra specjalistów, a co za tym idzie wyższy poziom pracy domów kultury oczywiście cieszy, choć samo wykształcenie i wiedza to jeszcze za mało. Potrzebny jest instynkt społeczny, umiejętność nawiązywania kontaktów, wykorzystania środowiska, tworzenia właściwej atmosfery, budzenia inicjatyw społecznych. Znane są fakty, że wykształcony kierownik domu kultury potrafi zorganizować wspaniałą wystawę, tylko że potem sam ją podziwia, gdyż nie umie na nią zwabić ludzi. Nie bardzo też wierzę, że dorośli hobbiści spontanicznie zgromadzą się w różnych kółkach zainteresowań, że nie trzeba będzie ich do tego zachęcać. Na zasadzie różnych kółek zainteresowań– głównie artystycznych, ale nie tylko – pracują dotąd z powodzeniem domy kultury młodzieży (patrz zdjęcia z Pałacu Młodzieży w Katowicach). Z dorosłymi jest nieco inaczej. Dorośli hobbiści nie mają tej spontanicznej potrzeby bycia razem. A jeśli nawet już przyjdą, zastanu dobrową kadrą, wyposażeniem, odpowiednią atmosferą, to będzie to tylko znikoma część danego środowiska. Bo bowiem może być ludzi o zainteresowaniach i uzdolnieniach artystycznych? A co z ideą upowszechnienia kultury, rozbudzania kulturalnych zainteresowań? Dlaczego wychowanie tylko poprzez sztukę – a inne formy, inne zainteresowania? Czy chodzi tylko o elitę, która ma promieniować przykładem? Czy model tego nowego domu kultury nie jest zbyt wąski, czy istotnie odpowiada on potrzebom wszystkich środowisk?

Wyższy poziom pracy dzisiejszych domów kultury powinien zakładać nie tylko konieczność wykształconej kadry, ale i zerwanie ze schematami, z ujednoliceniem metod, programów i modelu, który będzie musiał służyć różnym potrzebom ludzi w różnych środowiskach. Wiadomo przecież, że dom kultury w mieście wojewódzkim to zupełnie co innego niż dom kultury w gminie, a i gmina gminie nierówna. Domy kultury, aby mogły ożywić swoje martwe oblicza, muszą nabrać indywidualnego, „środowiskowego piętna, a ich modele i programy powinny powstawać przy szerokim współudziale miejscowego aktywu społecznego, kulturalnego. Czy musi to być jeden model dla całej Polski?

O tym, jakie będą domy kultury i tak w ostatecznym rachunku zadecydują gospodarze. Tym bardziej, że wyższy poziom pracy wymaga również wyższych nakładów finansowych. Te ostatnie w dużej mierze będą zależały od tego, co dane środowisko potrafi zdziałać własnymi rękami, wspólnymi siłami. Działalność kulturalna zawsze była i jest w pewnym sensie służbą społeczną i jako taka oporuje podlega administracji.

BARBARA TYLICKA

Fot. M. Zbikowski

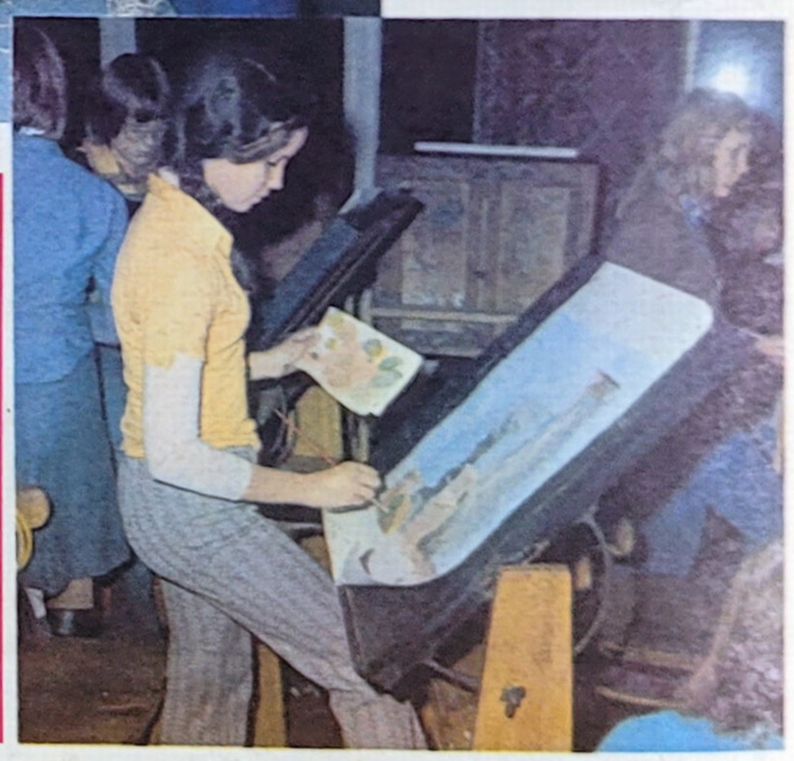

Szusy na deskach firmy „Janek–IIb"

Od pewnego czasu popadłem w apatię i nawet hiobowa wieść o gromadzących się czarnych chmurach nad czarnym, czyli żużlowym sportem nie wyprowadziła mnie z równowagi. Przywykłem już do różnych nękających nasz sport kataklizmów. Uodporniłem się na tyle, że nieobecność Cybulskiego na Halowych Mistrzostwach Polski z powodu... dyskwalifikacji za jakieś wybryki, też nie wywarła na mnie większego wrażenia. Prawda, wykroczeń naszych reprezentantów jest ciut za wiele. Zdarzają się nawet takie, które bardziej przez sąd niż komisje dyscyplinarne związków sportowych rozpatrywane być powinny. Przypomniałoby to poniektórym, że biało-czerwony dres reprezentanta kraju zobowiązuje, a nie chroni.

Ostatnio zdenerwował mnie jednak trochę stan zdrowia naszego narciarstwa. Słabiutkie starty biegaczy, zjazdowców i skoczków dowodzą, że choroba poczyniła w tej dyscyplinie spustoszenia, które w ciągu kilku, a może i kilkunastu lat trzeba będzie odrabiać. Zależy to jeszcze od właściwej diagnozy i zastosowania skutecznej kuracji. Diagnozę postawiono: słabiutka baza, brak popularnego sprzętu, niedostateczne przygotowanie trenerów i instruktorów. Postawienie diagnozy nie było zbyt trudne, bo o tych sprawach i niedostatkach pisało się i mówiło od dawna. Napawa jednak nadzieją to, że postawili ją ludzie, którzy i w kuracji mają wiele do powiedzenia: Jerzy Kuberski – minister Oświaty i Wychowania, Tadeusz Ulatowski – wiceprezes Polskiej Federacji Sportu i Władysław Miśków – prezes Polskiego Związku Narciarskiego.

Tres faciunt collegium – trzech tworzy zgromadzenie, czyli można rozpocząć obrady. Rozpoczęli, a ich wynik jest wielce optymistyczny, powstał bowiem interesujący program rozwoju narciarstwa w szkołach. Zaczyna się wreszcie od fundamentów. Prawda to bowiem oczywista, że aby sięgać po najwyższe laury – na nartach musi jeździć jak najwięcej latków i nastolatków. Ale do tego potrzebne są jeszcze odpowiednie warunki.

Zawarte w końcu lutego między MOiW i PZN porozumienie zrodziło już konkretne działania. W br. zwiększy się ilość kursów dla nauczycieli wf i tych, którzy kiedyś byli zawodnikami. PZN – być może jeszcze w bieżącym półroczu – powoła dwie szkoły dla instruktorów narciarstwa klasycznego i alpejskiego. PFS natomiast wspomagać będzie szkoły narciarskie i już wysłała do województw zalecenia w sprawie współdziałania klubów sportowych ze szkołami i klasami sportowymi.

Wszystko to konkretne i piękne, ale nadal nie rozwiązana pozostała sprawa decydująca – sprzęt. Beati possidentes, czyli szczęśliwi, którzy posiadają. Niestety – my nie posiadamy. Mówi się, że młodzież wcale nie musi jeździć na drogich deskach. Prawda, ale na jakich ma jeździć skoro innych nie ma? Jeśli program rozwoju narciarstwa w szkołach ma być realizowany, to za rok, dwa, na rynku musi się pojawić kilka milionów desek w przystępnej cenie i nie takich, które po tygodniu nadają się tylko do latania płotów.

W czasie lutowego spotkania padła śmiała myśl – deski będą produkować sami uczniowie. Oczekuje się nawet deklaracji szkół w tej sprawie. Myśl rzeczywiście przednia ale... czy realna? Prawda, że w szkolnych warsztatach robi się niemal wszystko. Tylko w ub. r. wykonano różne przedmioty wartości blisko 3 miliardów złotych! Do produkcji nart potrzebne są jednak odpowiednie urządzenia, surowiec i fachowcy. Ponadto jeszcze wiązania i specjalne buty. Zamiast chałupnictwa, można by jednak rozwinąć narciarski przemysł?

Obawiam się, że na deskach firmy „Janek-IIb" na olimpijskie podium nie zajedziemy. Próbować można, ale z jakim skutkiem?

RYSZARD RATAJCZYK

TO JUŻ WSZYSTKO, MOJA ŚLICZNA!

Fotoreportaż
J. Łopuszyńskiego
i M. Szymańskiego

CO DALEJ ÓSMA KLASO

JEDZIE POCIĄG...

Uczymy się w Technikum Kolejowym. Na tych, którzy chcą zostać uczniami naszej szkoły, czeka 200 miejsc w I klasach. O przyjęciu decyduje konkurs świadectw i wyniki testu psychotechnicznego, a poza tym kandydaci muszą mieć doskonałe zdrowie, zwłaszcza wzrok i słuch. Dla uczniów zamiejscowych wybudowany został nowy internat.

Szkoła nasza kształci specjalistów dla różnych służb kolejowych oraz zakładów pomocniczych. Można u nas zdobywać zawód w jednej z pięciu specjalności:

– Eksploatacja i naprawa taboru kolejowego.

– Maszyny i urządzenia drogowe.

– Urządzenia elektryczne taboru kolejowego.

– Automatyka zabezpieczenia ruchu kolejowego.

– Ruch i przewozy kolejowe.

*Na kierunku **„Eksploatacja i naprawa taboru kolejowego”** kształcą się maszyniści lokomotyw spalinowych oraz mechanicy pracujący w zakładach wytwórczych i naprawczych taboru kolejowego. Nauka trwa 5 lat.*

*Na kierunku **„Maszyny i urządzenia drogowe”** – specjaliści dla obsługi i naprawy maszyn służących do zmechanizowanych robót drogowych. Absolwenci tego kierunku mogą znaleźć zatrudnienie w oddziałach zmechanizowanych robót drogowych, warsztatach naprawczych, jednostkach naukowo-badawczych czy biurach konstrukcyjnych resortu komunikacji. W czasie 5-letniej nauki uczniowie uzyskują prawo prowadzenia pojazdów mechanicznych.*

*Absolwenci kierunku **„Urządzenia elektryczne taboru kolejowego”** są przede wszystkim zatrudniani jako maszyniści lokomotyw elektrycznych, mogą również pracować w jednostkach naukowo-badawczych oraz zakładach wytwórczych i naprawczych lokomotyw elektrycznych. Nauka trwa 5 lat.*

*Kierunek **„Automatyka zabezpieczenia ruchu kolejowego”** kształci pracowników zatrudnionych przy konserwacji urządzeń zabezpieczających ruch kolejowy, w Zakładach Wytwórczych Urządzeń Sygnalizacyjnych oraz w innych zakładach projektowych i badawczych. Nauka trwa również 5 lat.*

*4 lata trwa natomiast nauka na kierunku **„Ruch i przewozy kolejowe”**. Jego absolwenci pracują w służbach związanych bezpośrednio z obsługą klientów (naczelnik stacji, zawiadowca, dyżurny ruchu) oraz w służbach handlowo-ekonomicznych.*

Nasza szkoła istnieje już 25 lat. Nic więc dziwnego, że jest dobrze zagospodarowana i posiada bogate tradycje w wielu dziedzinach uczniowskiego życia. Naszą aktualnie największą dumą jest szkolny radiowęzeł. Posiadamy trzy punkty nadawcze – studio, aulę i gabinet dyrektora, a program redaguje kolegium redakcyjne. Od lat już aktywnie działa szkolne koło PTTK, które zdobyło wiele wyróżnień, nagród i dyplomów. Przy szkole istnieje orkiestra dęta, która na ostatnich ogólnopolskich eliminacjach Młodzieżowych Orkiestr Dętych zdobyła 4 miejsce oraz liczne Kluby HSPS.

Rada Szczepu HSPS
im. Obrońców Ojczyzny
przy Technikum Kolejowym MK
W Gliwicach, ul. Chorzowska 5

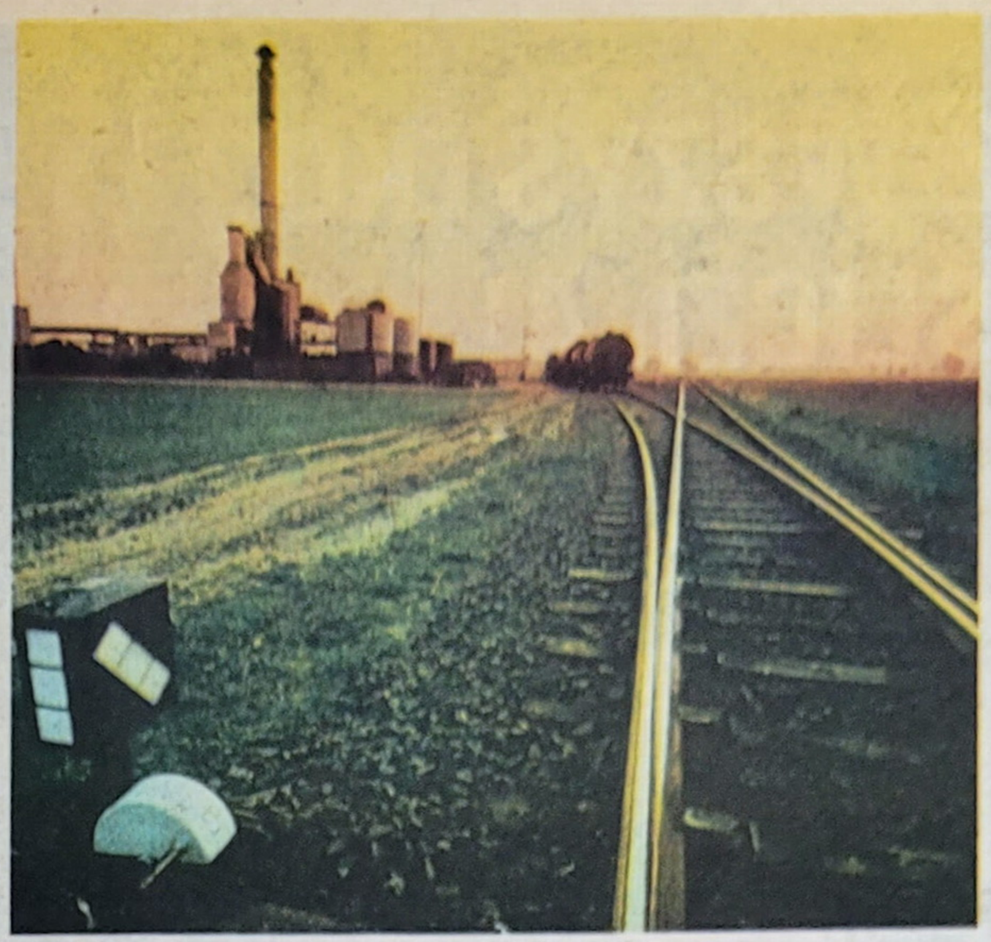

Fot. archiwum

Technika Kolejowe MK znajdują się również: **w Warszawie** (ul. Szczęśliwicka 56) – specjalności: drogi i mosty kolejowe, telekomunikacja kolejowa, maszyny i urządzenia drogowe, trakcja elektryczna, automatyka zabezpieczenia ruchu kolejowego; **w Skarżysku-Kamiennej** (ul. Armii Ludowej 119) – specjalności: mosty i drogi kolejowe, ruch i przewozy kolejowe, eksploatacja i naprawa taboru kolejowego; **w Krakowie** (ul. Ułanów 5) – specjalności takie jak w technikum warszawskim; **w Lublinie** (ul. Zemborzycka 82b) – specjalności jw.; **w Nowym Sączu** (ul. Św. Ducha 6) – specjalności: ruch i przewozy kolejowe, eksploatacja i naprawa spalinowych pojazdów trakcyjnych, eksploatacja i naprawa taboru kolejowego; **w Szczecinie** (ul. Kusocińskiego 3) – specjalności: drogi i mosty kolejowe, ruch i przewozy kolejowe, urządzenia elektryczne taboru kolejowego, eksploatacja i naprawa taboru kolejowego; **we Wrocławiu** (ul. Dawida 9/11), specjalności jak w TK w Warszawie.

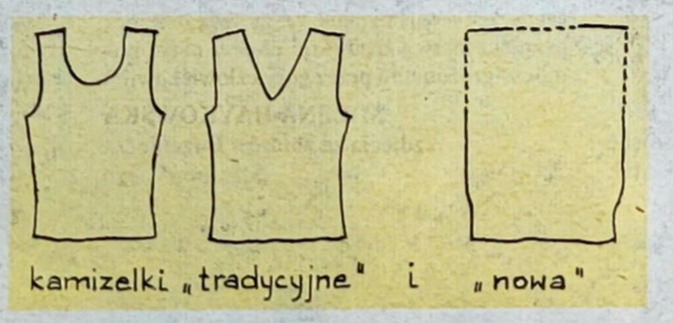

DOM MODY świata młodych

COŚ MAŁEGO, CZYLI – KAMIZELKA *(włóczkowa oczywiście!)*

Choć zima nas opuszcza, nie mam wyrzutów sumienia, że zajmuję się znowu tematem włóczkowym, zamiast np. wiosennymi kostiumikami. Po pierwsze dlatego, że rzeczy włóczkowe są w tej chwili tzw. okrągłoroczne, a po drugie – bo takie coś małego, czyli włóczkowa kamizelka, jest szczególnie przydatna w sezonach... przejściowych – wiosna, jesień. Włóczkowa kamizelka ma charakter nieobowiązujący, nie jest to głubaśny sweter przywołujący na myśl siarczyste mrozy, a jednak zdecydowanie ociepla cienką bluzkę. O tym ostatnim warto pamiętać – wiosny bywają w naszym klimacie bardzo chłodne.

Przyznam się, że o kamizelkach włóczkowych dość dawno nie pisałam. Może rok, a może nawet i dłużej. Nie z zapomnienia, ale dlatego, że nic się, jeśli o nie chodzi, nie zmieniało – od paru lat zajmowały w naszej dziewczęcej garderobie zasłużenie wysokie miejsce. Dopiero w bieżącym sezonie udało mi się odnotować pewne zmiany, jeśli chodzi o ich fason. A właściwie jedną zmianę – coraz częściej można spotkać kamizelki... kimonowe. Jest to tendencja, która wyrosła na ogólnym nurcie powrotu do kimonowych rękawów, dłuższych i krótszych. Kimonowe rękawy są w bluzkach, w sukienkach, w swetrach... nie ominęły więc i włóczkowych kamizelek. To kimono, które tutaj występuje, należy do najkrótszych (gdyby było dłuższe, nie byłaby to już... kamizelka!) i gdyby przyszło narysować schemat wykroju takiej kamizelki, to byłyby to dwa prostokąty, które zszywa się bokami i górą, zostawiając tylko miejsce na głowę i ramiona. W kamizelce „tradycyjnej” natomiast trzeba było dokonać tzw. podcięć na pachy i przy szyi. Szczególnie dla osób słabo władających drutami to tzw. spuszczanie oczek było czynnością ogromnie kłopotliwą, przy nowym modelu kamizelki – takiego problemu już nie ma!

Oczywiście, wszystkie „stare” modele kamizelek są w dalszym ciągu aktualne, ten najnowszy to tylko jedna z propozycji. Warta chyba zastanowienia się nad nią.

RIUSZKA

Nie ma tego złego...

Dla zastępu był to dramat. Jakże to, bez Aśki?! Dla samej zaś zastępowej perspektywa dwumiesięcznego wyjazdu do sanatorium to była prawdziwa tragedia. Na stacji, gdy żegnała się ze swoim zastępem, płynęły jej ciurkiem łzy. Dwa miesiące bez zbiórek?!

Po obu stronach asfaltowej szosy biegnącej z Krasnobrodu do Zamościa rozciąga się malownicze pasmo roztoczańskich wzgórz. Biegnąca w dół parkowa aleja wiedzie do przycupniętych w dolinie białych budynków. Mieści się tu dziecięce sanatorium rehabilitacyjne. Tu przyjechała Aśka.

Pierwszy tydzień potwierdził najgorsze przypuszczenia – beznadzieja! Rano szkoła, po południu leżakowanie, potem nauka własna, a wieczorem telewizja. I tak dzień po dniu. Minęło ich tak... osiem. Dziewiątego Aśka wzięła się za „robienie” drużyny harcerskiej. Wspólnie z wychowawcą, panem Józefem Zdyblem, próbowali ułożyć plan działania. Na początek ściągnęli wszystkich harcerzy. Każdy miał inny pomysł, bo każdy w swojej macierzystej drużynie robił co innego. Zgodni byli co do jednego – trzeba urządzić ognisko! Podobało się ono i nie harcerzom, bo już następnego dnia do Aśki przyszli nowi: „My też chcemy być w drużynie!”

Teraz najprawdziwsze zbiórki zastępów odbywają się raz w tygodniu, ale jak potrzeba, to i częściej. W któryś wtorek padła np. propozycja zorganizowania balu przebierańców, a już w środę Aśka ogłosiła alarmową zbiórkę, bo wypatrzyła kolorową bibułę, w którą owinięte były wielkie pudła. Trzeba było ją ratować przed wyrzuceniem na śmieci! Przydała się potem przy dekorowaniu sali.

Najwięcej kłopotu sprawiły kostiumy. Bo i z czego można je było zrobić – mamy zapakowały do walizek i granatowe spódnice, i białe bluzki, i ciepłe swetry, ale... balu w sanatorium nie przewidziały. W końcu Janek na odświętne, wyprasowane w kant spodnie naszył łaty wycięte z kolorowych tygodników, podkasał nogawki i wystąpił jako włóczykij. Obok tańczyły Indianki, kowboje podrywali... żony sułtana... Bal był wspaniały!

Po balu harcerska działalność ruszyła w sanatorium na całego. Włączyli się do niej nawet i ci, co wcześniej na drużynę patrzyli trochę wilkiem. Złamały ich pieczone na patyku kiełbaski, wieczory poezji, konkursy... Powstała też sekcja fotograficzna, która te wszystkie ważne wydarzenia utrwala na kliszy.

Niedługo turnus w sanatorium się skończy, Aśka wróci do swojego zastępu, do Krasnobrodu przyjadą nowe dzieci. Wywieszona w korytarzu harcerska gazetka poinformuje, że w sanatorium działa drużyna harcerska im. Janusza Korczaka i że zbiórka jest we wtorek...

DANUTA ZIELIŃSKA

REDAKCYJNA POCZTA

Nieszczęsne imię

Na imię mam Mieczysława. Czy jest to tak okropne imię, że osoba je nosząca musi być narażona na drwiny i odtrącona przez kolegów? Nie wyobrażacie sobie nawet, jak przykro być w klasie kimś, kto nic nie znaczy. Właśnie ja doświadczam takiego traktowania, bo noszę to nieszczęsne imię. Wydrukujcie ten list. Może znajdzie się ktoś, kto dałby jakąś radę na zmianę postępowania mojej klasy.

Mieczysława z Warszawy

Brak mi tej przyjaźni

W 1975 roku byłam w sanatorium dziecięcych chorób płuc w Gdańsku-Oliwie. Leżałam na oddziale II i tam właśnie zaprzyjaźniłam się z Beatą Hausser z Gdańska. Wyjeżdżając obiecałyśmy pisać do siebie, ale niestety, nie wymieniłyśmy adresów. Brak mi tej przyjaźni, ale myślę, że dzięki Waszej pomocy mogłabym jeszcze nawiązać z Beatą kontakt.

Ewa Antoniak
Tralewo
82-230 Nowy Staw

Jadwiga Siepsiak, Osiedle 1000-lecia 19/49, 44-268 Jastrzębie VII, chce nawiązać kontakt z uczniami Liceum Ekonomicznego.

Chór – a Kodeks Ucznia

W naszej szkole zajęcia chóru są obowiązkowe. Odbywają się one dwa razy w tygodniu, ale od początku roku szkolnego nie występowaliśmy nawet na apelu. Mimo to nie uczęszczającym na chór obniża się stopnie ze sprawowania. Przecież ósmy punkt Kodeksu Ucznia mówi, że uczeń ma prawo dokonywać wyboru zajęć fakultatywnych, kół zainteresowań i innych form zajęć pozalekcyjnych. Czy nie dotyczy to również chóru?

Chórzystki z Olsztyna

Złośliwa natura

W mojej klasie jest chłopak, którego bardzo lubię. Z jego strony spotykają mnie jednak przykrości, bo Jurek to złośliwa natura i często mi „dogryza”. Starałam się wytłumaczyć mu, że postępuje niewłaściwie, ale to jakoś do niego nie dociera. Poza tym jest bardzo fajny i dlatego nie chciałabym stracić do niego sympatii. A może koledzy poradzą, jak zaradzić tej sytuacji?

„Diana” z Warszawy

Kara za wagary

Znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji. Otóż pewnego dnia poszedłem na wagary. Zdarzyło mi się to pierwszy raz. Gdy o moim przewinieniu dowiedział się ojciec, kazał mi wypisać się z harcerstwa. Do organizacji tej należę już parę lat – pełnię funkcję zastępowego i wśród kolegów cieszę się dobrą opinią. Dlatego też nie mogę pogodzić się z decyzją taty.

„Bulwa”

OD REDAKCJI: Wydaje nam się, że decyzja Twojego taty nie jest jeszcze ostateczna. Choć wagarów zdecydowanie nie popieramy, kara, jaką Ci wymierzono, może być chyba zmieniona na bardziej sensowną. Jeśli obiecasz, że już nigdy nie będziesz wagarował, tato nieco „zmięknie”, zrozumie, że raz popełnione przewinienie może się więcej nie powtórzyć.

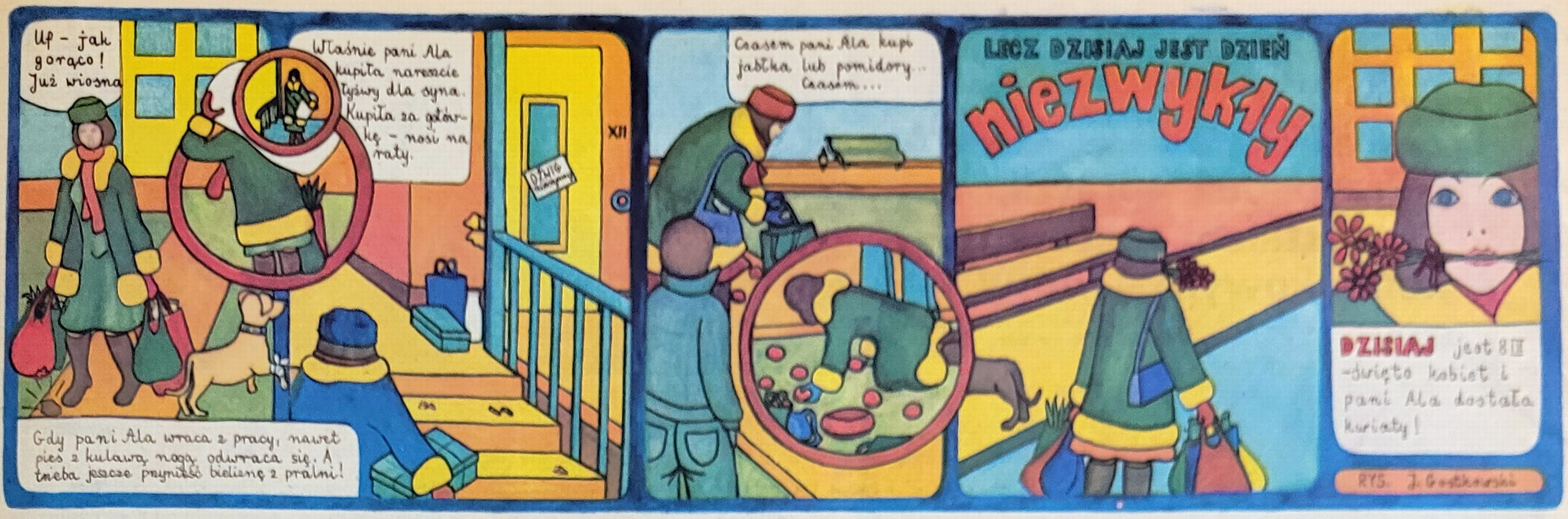

Zmęczeni do granic wytrzymałości schodzili wreszcie z groźnego Mnicha. Pierwszym człowiekiem napotkanym na ,,ceprostradzie" była kobieta dźwigająca wiadro mleka. W milczeniu pili, nie mając siły dziękować. Nie wiedzieli jeszcze, że spotkanie nie było przypadkowe. Góralka szła do nich całą godzinę z dalekiego szałasu.

Tak wita się ,,na dole" ludzi ryzykujących własnym życiem po to, by nieść życie innym.

NIE CZEKAJĄ NA WIELKIE SŁOWA

Nie wiem, czy Eugeniusz Strzeboński zacząłby to ,,życie z górami", gdyby nie ucieczki ze szkoły na samotne wędrówki po Tatrach. I właściwie trudno zdecydować, czy szkoła mechaniczna, którą skończył nauczyła go zawodu, czy też pomogła mu kochać góry, surowe ich piękno, a często groźbę zaczajoną gdzieś w skalnych załomach. Praca mechanika trwała zaledwie rok. Dzień, w którym przeczytał ogłoszenie o kursie dla kierowników wycieczek po Tatrach, był dniem powrotu do gór na zawsze. Przypomniał sobie wtedy dziecięce wyprawy z kolegami, niecierpliwe oczekiwanie w kolejce na jedną w całej ,,bandzie" parę nart.

Jakie wielkie bitwy toczyli oni – ,,tatarzy" – mieszkańcy ulicy Tatary w Zakopanem, z tymi z Hyclówki. Bo bili się przy każdej okazji. Kiedy ci z Hyclówki wygrali konkurs na skoczni, musieli przekonać świat, że jeśli nie w skokach, to przynajmniej na pięści ,,tatarzy" są lepsi. A wygrana w zawodach narciarskich kończyła się zwykle obroną przed wściekłym atakiem przeciwnika. Tak, te wspomnienia, obrazki sprzed lat, zahipnotyzowały go tak, że bez chwili wahania – opuścił Elbląg, gdzie po skończeniu szkoły dostał pracę machanika. Później, Eugeniusz Strzeboński, namówiony przez Tadeusza Pawłowskiego, ówczesnego szefa Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego (TOPR), zaczął swą karierę ratownika.

Szklanka wody

Tak. Pamięta pierwszą swą wyprawę po turystę ,,zaklinowanego" gdzieś na Skupniów Upłazie. Ale tych wypraw miał do dziś ponad pół tysiąca, trzystu pięćdziesięcioma sam kierował. Wszystkich spamiętać nie sposób. Były łatwiejsze i były też akcje od pierwszych minut wypełnione dramatyzmem. Nigdy nie wiadomo, kiedy zaatakuje najtrudniejszy w górach przeciwnik – uczucie psychicznego załamania. Dużo już miał wypraw za sobą. Tyle razy ,,wisiał na ścianie", gdzie miejsca na zaczepienie stopy szukać trzeba pięć, dziesięć, piętnaście minut.

Przeżyłem załamanie psychiczne zjeżdżając z ofiarą wypadku na Halę Gąsienicową, a potem prostą drogą w kierunku Zakopanego. Głupia, zwykła zwózka, którą ,,robiłem" już tyle razy. Na Gąsienicowej miały czekać sanie. Nie czekały. Na Jaszczurówce też ich nie było. I wtedy miałem dosyć. Dosyć tego samotnego ciągnięcia ciężaru, dosyć ciemności, dosyć pracy w Pogotowiu. A przecież niebezpieczeństwo minęło. Zjechałem na dół z URATOWANYM CZŁOWIEKIEM. Do dziś nie rozumiem strasznego uczucia samotności, które mnie wówczas ogarnęło. Powinienem być przecież na nie odporny...

– Tak jest zawsze. Dowiozłem wtedy człowieka do szpitala. Była 3 nad ranem. Lekarze zabrali go z toboganu. Siadłem. I wtedy byłem już naprawdę sam. Czy na coś czekałem? Czy potrzebne mi były podziękowania? Nie. Ktoś podał mi w milczeniu szklankę zwykłej wody. Już nie miałem wątpliwości, że następnego dnia o 8 rano znów stawię się na dyżur. Wielkie słowa wdzięczności nie są nam potrzebne. Ale powiedzenie: ,,przecież im za to płacą", bardzo boli. Pozostawia gorycz. Tym bardziej, że dla większości z nas to żaden zarobek; ratownictwo to praca społeczna, ochotnicza. Żal i rozgoryczenie to uczucia często towarzyszące pracy o niezwykłym napięciu. Najmniejsza sprawa urasta do wielkich rozmiarów. A cóż dopiero mówić o tych naprawdę wielkich problemach?

My nie ,,konie"

Ileż musiał przełamać oporu i niechęci wśród swoich! Eugeniusz Strzeboński był już wtedy osobą oficjalną – szefem Tatrzańskiego Oddziału GOPR. Podwładnymi byli słynni jeszcze sprzed wojny przewodnicy–górale. Koniec lat 60-tych to przełom w górskim ratownictwie. W Austrii produkowano już tzw. zestaw alpejski. Słowaccy ratownicy Horskiej Służby, w których wyprawach nieraz uczestniczył, też wypróbowywali nowy sprzęt. Sam również interesował się tymi nowinkami – na oczach niedowiarków dokonali ,,zwózki".

Miałem miękkie nogi – wspomina Eugeniusz Strzeboński. – A nuż się nie uda? Dla mnie byłoby to coś więcej niż osobista porażka. Ale udana próba naruszyła przecież utarty od lat niezmienny sposób myślenia i działania.

Na największe opory natknął się trochę później. ,,Chce pozabijać ratowników" – tak mówiono o swym szefie, gdy wprowadził zestaw alpejski. Nie miejsce tu wgłębiać się w techniczne rozwiązania tego sprzętu ratownictwa wysokogórskiego. Dość powiedzieć, że zjazdy 300-metrowe po pionowej skale bez niego nie byłyby możliwe. Ale znów trzeba było czasu. Teoretycznie jeszcze nikt z górali o niczym się nie przekonał, póki nie zobaczyli na własne oczy. I zobaczyli...

Wiadomość o utknięciu dwóch taterników na północnej ścianie Mnicha Eugeniusz Strzeboński dostał o godzinie szóstej po południu. Przez wielką lornetę z Morskiego Oka, gdzie dyżurował, dobrze widział, co się dzieje. Jeden taternik siedział na półce 2-metrowej szerokości. I z tym mała bieda. Z drugim gorzej. Wisiał na linie w powietrzu.

– Natychmiast wyruszyliśmy z Ryśkiem Berbeką. Reszta kolegów dołączyła po drodze. Dotarliśmy w ciemnościach. Zjazd, czyli zwiezienie wiszącego na dół, to była droga o długości 280 m. Tego nie można było dokonać bez nowego sprzętu. Tak jak i bez windy nie wciągnęlibyśmy czekającego na ,,półce" taternika.

Zapomniał wtedy o satysfakcji udowodnienia swych racji. Wyprawa, która trwałaby co najmniej 2 – 3 dni zmniejszając szanse przeżycia ludzi, uratowała ich w ciągu 6 godzin. Ważna to była akcja dla wszystkich. A jej kierownik, Strzeboński, pamięta tylko, że wrócił do domu i... spadł ze stołka w trakcie rozbierania się. Obudził się po 40 godzinach. I jak zawsze pospieszył na kolejny dyżur, kolejną wyprawę ,,po życie".

Dziś nikt, ani stary ani młody, wyobrazić sobie nie może wyprawy bez pomocy śmigłowca, bez ,,klimków" – radiotelefonów nazwanych tak od imienia Klimka Bachledy.

Technika ułatwia życie ratownikom, nie chroni ich zupełnie jednak przed ryzykiem. I do dziś każdą akcję, każdą wyprawę rozpoczyna tradycyjne pytanie: **,,Czy świadom niebezpieczeństw i trudności chcesz nieść pomoc zagrożonemu przez góry człowiekowi?"**

MILENA HAYKOWSKA
zdjęcia ze zbiorów Eugeniusza Strzebońskiego

Nie można sobie wyobrazić naszego goprowskiego życia bez nowoczesnego sprzętu

UWAGA!
konkurs filatelistyczny pt. „OCHRONA ŚRODOWISKA" rozstrzygnięty!

Na konkurs pt. „Ochrona Środowiska" ogłoszony w „Filatelistce" i „Świecie Młodych" wpłynęło wiele prawidłowych rozwiązań. Specjalnie dla czytelników naszej gazety przeznaczono trzy nagrody zawierające podstawowe pomoce filatelistyczne (klaser, lupa, pinceta, i ząbkomierz). **Nagrody te wylosowali:**

1. Dariusz Deja – Przybiernow
2. Kazimierz Pollak – Poznań
3. Marta Szwenin – Warszawa

Za duży wkład pracy w opracowanie odpowiedzi w postaci zbioru wystawowego, sąd konkursowy postanowił przyznać dodatkową nagrodę w postaci 150 kart wystawowych dla Szczepu Harcerzy Głuchych ze Szczecina. Niezależnie od specjalnych nagród czytelnicy „Świata Młodych" brali udział w losowaniu wszystkich nagród i upominków.

Nagrody Komisji Młodzieżowej ZG PZF – klasery ze znaczkami wylosowali:
1. Leszek Barcz – Warszawa
2. Marcin Żak – Warszawa
3. nagrodę w postaci słownika ortograficznego języka polskiego wylosowała – Aleksandra Kazanowska – Bolesławiec.

Nagrody i upominki ufundowane przez Ligę Ochrony Przyrody otrzymują:
1. Sławomir Jendryszka – Lublin
2. Cezary Szypulski – Głogów

Upominki Przedsiębiorstwa Filatelistycznego „RSW Prasa-Książka-Ruch" wylosowali:
1. Dariusz Kasner – Żyrardów
2. Wojciech Nowicki – Rumia

Wszystkie nagrody zostaną w najbliższym czasie wysłane pocztą.

GWIAZDOZBIÓR

Przypadek sprawił, że zostałem aktorem komediowym – *mówi*

KAZIMIERZ BRUSIKIEWICZ

Kazimierz Brusikiewicz jest jednym z najpopularniejszych aktorów w naszym kraju. Znamy go zarówno z występów w teatrze, jak też w filmie, telewizji, na estradzie, w radiu. Nie wyobrażamy sobie słynnego „Podwieczorku przy mikrofonie" bez Brusikiewicza w roli Malinowskiego. Na kilka minut przed rozpoczęciem spektaklu w teatrze „Syrena" w Warszawie poprosiliśmy aktora o chwilę rozmowy.

– Podobno zaczynał pan jako aktor dramatyczny, czemu obecnie chyba nikt nie dałby wiary...

– W teatrach dramatycznych zaczynałem już po wojnie – mówi aktor. – Przedtem debiutowałem w rodzinnym Wilnie na deskach teatru muzycznego „Lutnia". Występowałem w towarzystwie słynnej Hanki Ordonówny w śpiewogrze Wojciecha Bogusławskiego pt. „Krakowiacy i górale". Po wojnie natomiast, zaczynałem od teatru Ziemi Pomorskiej w Toruniu, którym kierował znakomity reżyser i inscenizator Wilam Horzyca. Wystąpiłem m.in. w „Weselu" St. Wyspiańskiego, „Za kulisami" C.K. Norwida. Grałem w sztukach Szekspira, Shawa, Calderona, Jesienina...

– By w końcu poświęcić się komedii...

– Od dziecka miałem ku temu pewne predyspozycje. O tym jednak, że poświęciłem się „lekkiej muzie", która dla aktora wcale nie jest lekka – zdecydował przypadek. W Toruniu występowałem w sztuce pt. „Magia" Chestertona. Grałem rolę poważną, dramatyczną. Pod koniec spektaklu, w momencie największego dramatycznego napięcia dostałem... czkawki! Czyż aktor może mieć większego pecha? Skutek był taki, że widzowie i koledzy za kulisami, pokładali się ze śmiechu. Mój „dramat" obserwował także Horzyca. Po skończonym spektaklu podszedł do mnie rozbawiony i mówi: „Kaziu, była to ostatnia twoja rola dramatyczna"... I rzeczywiście, następną grałem w „Nitouche", komedii francuskiej wystawionej pod kierownictwem muzycznym znanego dyrygenta Henryka Czyża. Od tego momentu grywałem postacie wywołujące śmiech. Nawet kiedy „umierałem na scenie", widzowie i koledzy za kulisami konali... ze śmiechu!

– Czy trudno jest rozśmieszyć, zabawić publiczność?

– Czy trudno? To zależy komu. Jak się ma ku temu odpowiednie predyspozycje, tę tzw. vis comica, którą podobno posiadam, wtedy sprawa jest prosta. Jeśli ma się jeszcze do tego dobre teksty!

– Pracuje Pan bardzo intensywnie. Występy w „Syrenie" i „Buffo" – drugiej scenie tego teatru. Widzimy Pana w telewizji, słyszymy w radiu. „Podwieczorek przy mikrofonie" wkroczył w 21 rok istnienia!!!

– W teatrze „Syrena" prowadzimy jak gdyby 3 sceny. Dwie pan wymienił. Trzeba jednak dodać, że w wolnych chwilach wyjeżdżamy z pełnospektaklowymi programami w Polskę. W tej chwili prezentujemy w terenie trzy spektakle: „Syrena ma głos", „Kabaretro" i „Latające dziewczęta". W przyszłości program nasz poszerzymy o nowy spektakl rewiowy „Tylko u nas", który miałem przyjemność reżyserować. Tej „trzeciej" sceny, ruchomej, nie można bagatelizować. W ubiegłym roku w różnych zakątkach naszego kraju daliśmy ok. 200 przedstawień. Graliśmy w zakładach pracy, świetlicach, domach kultury, gdzie się tylko dało. Musimy mieć oczywiście, odpowiednie warunki techniczne, w naszych spektaklach bowiem występuje jednocześnie ok. 30 aktorów. Na te „wycieczki" zabieramy zazwyczaj po 300 kostiumów!!!

– Czy zawsze potrafi Pan rozśmieszyć widza?

– Nigdy nie poniosłem tzw. sromotnej klęski w tym względzie. Nawet jeśli publiczność jest poważna i nie poddaje się łatwo atmosferze zabawy, stosuję pewne, znane tylko mnie „kruczki", którym nikt nie jest w stanie się oprzeć. Swoje numery staram się tak przygotować, aby każdemu, kto je ogląda dostarczyć jak najwięcej radości.

– Czy nie zdarzyła się w pańskiej pracy sytuacja odwrotna, kiedy to publiczność pana rozśmieszyła?

– Wprawdzie trudno jest mnie rozśmieszyć na scenie, ale takie historie też się zdarzają. Szczególnie wtedy, gdy na sali znajdą się tzw. soliści, czyli widzowie, przebijający się swoim śmiechem ponad śmiech innych, lub tacy, którzy ze swoimi reakcjami nieco się spóźniają.

– W natłoku zajęć aktorskich sięga Pan jeszcze po „pałeczkę" reżyserską...

– Zawsze jest tak z ludźmi, którym raz się uda. Kiedyś dla „Pagartu" przygotowałem program „eksportowy", na wyjazd do USA. Później dyrektorzy „Syreny" – Gozdawa i Stępień powierzyli mi reżyserowanie farsy Camolettiego pt. „Latające dziewczęta". W tej pracy dużo pomogła mi żona – Lidia Korsakówna, która dla mnie jest zawsze głównym doradcą. W tym wypadku też się udało. Mieliśmy dobre recenzje, publiczność przyjęła spektakl entuzjastycznie. Pomyślałem więc, dlaczegóż by nie spróbować po raz trzeci! I tak wspólnie z żoną przygotowaliśmy następny program-składankę rewiową pt. „Tylko u nas". Nie znaczy to jednak, że będę trudnił się reżyserowaniem częściej. Reżyseria wymaga ogromnego wysiłku i nie pozostawia czasu na nic innego. Ja natomiast należę do ludzi ruchliwych i lubię przede wszystkim występować sam. Codziennie występuję w „Syrenie" i „Buffo", w „Podwieczorku przy mikrofonie". Często jestem tak zmęczony, że wydaje mi się, iż nie jestem w stanie zabawić widza. Dopiero, kiedy wychodzę na scenę, widzę uśmiechnięte, wyczekujące twarze, nabieram nowych sił.

– Czego możemy od Pana oczekiwać w najbliższym czasie?

– W najbliższym czasie wyjeżdżam na miesiąc do sanatorium, co mnie niezmiernie cieszy. Wreszcie trochę odpocznę, a czeka mnie naprawdę dużo pracy w tym roku.

– Życzę więc przyjemnego wypoczynku.

Rozmawiał:
TOMASZ PETZ
Fot. CAF

Kochamy bobry. Płaczemy jak bobry, czytając książki Szarej Sowy. Szukamy na mapach bobrzych rezerwatów. Wycieczki coraz tłumniej odwiedzają miejsca, gdzie – jak wynika z przewodników – można te zwierzęta niekiedy zobaczyć. Rzadko się to udaje – bobry żyją tajemniczo.

BOBRY Z BOBRZEJ RZEKI

Człowiek współczesny szczególną sympatią i zainteresowaniem darzy te spośród zwierząt, które sam wyniszczył lub nadal niszczy. A z bobrem obeszliśmy się w ubiegłych wiekach wyjątkowo niełaskawie. To zwierzę, uważane niegdyś za święte, w późniejszym okresie było cenione już tylko ze względu na futro i mięso. „Strój bobrowy" – wydzielina gruczołu położonego w pobliżu ogona – używany był jako lek w średniowiecznej medycynie. Nawet sam ogon (słynna „kielnia") bywał wykorzystywany – traktowano go jako postne, rybne danie.

Prawo odłowu bobrów posiadali tylko panujący i wielmoże. Polowanie od bardzo dawna obwarowane było licznymi ograniczeniami, a jednak bobry – niegdyś pospolite w całej Polsce – zostały niemal doszczętnie wyniszczone. Jeszcze w XIX w. występowały nad Wisłą. Po II wojnie światowej pozostało u nas prawdopodobnie już tylko kilkanaście tych zwierząt.

Prace nad przywróceniem bobra w Polsce rozpoczęto z początkiem lat pięćdziesiątych. Z białoruskich ostępów przyjechały nad Biebrzę 24 zamknięte w klatkach osobniki. Klatki ustawiono nad brzegami fos i kanałów pewnego starego, nadbiebrzańskiego fortu – niech się zwierzaki przed wypuszczeniem trochę rozejrzą, zapoznają z nową okolicą.

Bobry jednak nie traciły czasu. Przegryzły ściany klatek i znalazły się na wolności. Wkrótce potem zauważono w fosach pierwsze ich nory, a na pniach drzew ślady ostrych zębów. Z upływem lat liczba zwierząt znacznie wzrosła. Zaczęły nadchodzić meldunki o nowych stanowiskach. Powoli, z roku na rok, Biebrza, niegdyś słynąca z bobrów, znów zaczęła się stawać „bobrza rzeka".

– *Zobaczyć bobry? Teraz, zimą, i mnie się to rzadko udaje* – mówi strażnik nadbiebrzańskiego rezerwatu, pan **Władysław Lechociński** – *No, ale chodźmy, obejrzymy chociaż te chałupy i zgryzy...*

Przed nami zamarznięte, pokryte śniegiem rozlewisko. Nieliczne ślady lisa, kilka zajęczych tropów. Psich na szczęście nie widać. Na tle szarości łóz pięknie czerwienieją badyle derenia amerykańskiego, którego nasiona dostały się tu niegdyś w niewiadomy sposób. Ale bobry i te badyle chętnie jedzą. Podana przez J. Panfila*) lista ich przysmaków liczy 39 pozycji. Od kory osiki po turzyce, koniczynę, a nawet pokrzywy.

Prawie nie ma tu drzewa, które nie nosiłoby śladu bobrzych zębów. Niektóre pnie leżą zwalone. Jeden z nich jest ponacinany co kilkadziesiąt centymetrów. Bowiem średniej grubości pnie bobry tną zwykle na szereg krótszych odcinków. W ten sposób zmyślne zwierzęta ułatwiają sobie transport.

A oto i bobrza chata. Przysypany śniegiem, duży stos krótkich gałęzi i patyków. Całość, spojona mułem, jest tak mocna, że do jej rozbiórki trzeba by użyć kilofa. Ponadto wobec takiej budowli nawet niedźwiedź – amator bobrzego sadła – bywa całkiem bezradny.

Szukam na śniegu bobrzych śladów. Zwierzęta niechętne opuszczają zimą domowe pielesze – ich łapy i ogony łatwo ulegają odmrożeniu. Ale też z końcem stycznia zaczyna się okres godowy, a wtedy zdarzają się bobrom, zwłaszcza młodym, dalekie wędrówki w poszukiwaniu partnera. Nie widać jednak żadnych śladów. Więc chyba będzie tu spokój aż do wiosny. Zwłaszcza, że mieszkańcy rezerwatu zgromadzili chyba na zimę wystarczającą ilość pokarmu. Świadczy o tym duża liczba ściętych, a nie wykorzystanych gałęzi i drzew.

Pomimo sąsiedztwa zabudowań bobry mają tutaj spokój. Naturalni wrogowie starych bobrów – wilk i ryś, to już zwierzęta tak rzadkie, że ich działalność praktycznie się nie liczy, zaś wydra, piżmak oraz puchacz (gnieździ się w okolicznych lasach) mogą zagrozić tylko młodym bobrom. A także – jak twierdzi pan Lechociński – zmienia się stosunek ludzi do tych zwierząt. Bobry, jeżeli gdzieś się osiedlą, traktowane są przyjaźnie. Nic też dziwnego, że bobrze i ludzkie domostwa zaczynają... sąsiadować ze sobą. A podczas melioracji Kołodziężanki zmieniono nawet plany, by zostawić bobrom odcinek koryta rzeki w nie zmienionym stanie.

Ale ta sympatia ludzi bywa dla bobrów trochę niebezpieczna. Ludziom nie wystarcza już widok chatek i zwalonych drzew. Szukają bliższego kontaktu ze zwierzęciem. A o to w przypadku bobra wcale nie jest łatwo. Owszem, pan Lechociński ma swego pupila imieniem Antek, który, gdy się go woła – słucha, a nawet podpływa. Ale i on nie zbliża się na dystans mniejszy niż kilkadziesiat metrów...

Idziemy do drugiego żeremia. Wokół skryte pod śniegiem bagniste pustkowia, zamarznięte jeziorka, ciągnące się kilometrami gęstwiny zeschłych trzcin i bezlistnych teraz łóz. W tym krajobrazie bobry szybko poczuły się jak u siebie w domu. A że tutejszy rezerwat dla ciągle rosnącej liczby zwierząt okazał się za ciasny – bobry korzystające z dogodnych szlaków wodnych zaczęły wędrować w świat! Więc i obszar nadzoru pana Lechocińskiego stale się powiększa, bo ktoś przecież musi przypilnować nowych ostoi. A jest ich coraz więcej. Bobrze sadyby pojawiły się na zarastających kanałach wśród bagien dolnej Biebrzy, w Wissie i Klimaszewnicy, a wreszcie w Narwi. Stąd poprzez Pisę zwierzęta wędrują na Mazury.

Ekspansja bobrów trwa. Dziś zamieszkują nawet na skraju osuszonego bagna Wizna. Ale to jeszcze nie znaczy, że zmeliorowany krajobraz tak bardzo przypada im do gustu. Gdzie tylko mogą, starają się przywrócić dawne stosunki wodne. W Puszczy Augustowskiej zatarasowały tamą rów melioracyjny, tworząc rozlewisko i chroniąc tym samym leśny rezerwat przed wyschnięciem. Nie możemy jednak liczyć na stałą pomoc tych puszczańskich budowniczych. Błędy popełnione tu podczas nie zawsze przemyślanej eksploatacji zasobów przyrody zaczynamy naprawiać sami. Pomyślna restytucja łosia, a także i bobra jest tego dowodem.

TOMASZ KŁOSOWSKI
Rys. S. Pawel

*) Jan Panfil: „Bóbr, zwierzę ginące w Polsce" Zakład Ochrony Przyrody PAN. 1960 r.

REPORTER Świata Młodych

LIST OTWARTY

Jaśnie wielmożni Panowie kierowcy PKS! Szanowna Dyrekcjo PKS!

Dojeżdżam do Zbiorczej Szkoły Gminnej na trasie Niemienice–Krasnystaw. Powinien na tej trasie kursować autobus podmiejski, ale bardzo często po prostu nie przyjeżdża.

Kierowcy autobusów PKS oczywiście,(?) nie uznają biletów miesięcznych, gdyż twierdzą, że są one ważne tylko na autobus podmiejski. Gdy tłumaczymy, że autobus nie jeździ nie chcą nas w ogóle słuchać.

Kierowcy są bardzo niegrzeczni, konduktorzy nie zwracają reszty za bilety. Kto się upomni, zostanie zapamiętany i następnego dnia na pewno już nie pojedzie. Znam to z własnego doświadczenia, gdyż nie tak dawno konduktor skląl straszliwie mnie i kolegę, i zapowiedział, żebyśmy następnym razem nie śmieli wsiadać do autobusu, bo i tak nas nie wpuści!

Kilka dni temu, wieczorem, jechałem z mamą do babci. Autobus z Krasnegostawu do Żulina miał odjechać o godz. 18,30. Po półgodzinnym czekaniu pasażerowie interweniowali u dyżurnego ruchu. Odezwał się głos spikerki:

– Autobus do Żulina na godzinę 18,30 będzie opóźniony jeszcze 20 minut.

Po pół godzinie taka sama zapowiedź. Po godzinie znów odezwała się spikerka:

– Autobus do Żulina na godzinę 18,30 w dniu dzisiejszym nie odjedzie.

Wszyscy byli oburzeni. Tym bardziej, że nie mieliśmy już żadnego połączenia ze swoją miejscowością i nie mogliśmy wrócić do domu. Autobusy podmiejskie – jak zwykle – nie kursowały.

W odpowiedzi na interwencję dyżurny ruchu zamknął okienko!

PIOTR ŚWIRGOŃ,
Niemienice
korespondencja pierwsza

Dziś przedstawiamy amerykański pojazd kosmiczny, tzw. prom, z którym w połowie lutego rozpoczęto pierwsze doświadczenia. Na razie odbyły się one na pasie startowym bazy lotniczej Edwards w Kalifornii. Prom połączony był z kadłubem samolotu „Boeing-747". Celem prób było zbadanie stabilności zespołu oraz zdolności hamowania samolotu obciążonego ważącym 68 ton promem kosmicznym. Następne próby odbędą się w powietrzu.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Świat śledzi z dużą uwagą plany rozwojowe amerykańskiej astronautyki. Współtwórcy sukcesu spotkania w przestrzeni statków „Sojuz" i „Apollo" nie spoczęli na laurach. W 1979 r. ma rozpocząć loty orbitalne Space Shuttle – nazywany u nas najczęściej promem, wahadłowcem lub po prostu tramwajem kosmicznym. Pojazd startujący sposobem rakiety, lądujący zaś jak samolot. Pierwszy egzemplarz nowego pojazdu kosmicznego jest już gotowy. Opuścił on 17 września br. hangary przedsiębiorstwa Rockwell International w Kalifornii. Po serii prób – najpierw w atmosferze, potem na orbicie, wahadłowiec rozpocznie w 1979 r regularne rejsy, dając początek nowej erze w wykorzystaniu przestrzeni wokółziemskiej.

Pomysł zbudowania takiego pojazdu zrodził się kilkanaście lat temu w trakcie realizacji programu „Apollo". Wyszło wtedy na jaw, że najdrożej kosztuje pierwsza faza lotu, a więc pokonanie grawitacji ziemskiej i wyniesienie statku kosmicznego lub sztucznego satelity na orbitę. Potężne rakiety kosztowały dużo, a przeznaczone były właściwie do jednorazowego użytku (patrz nr 102/76 „ŚM"). Konstruktorzy zaczęli więc, pod presją oszczędności, szukać tańszego sposobu transportowania ładunków z Ziemi na orbitę.

Doświadczenia zebrane podczas lotów załogowych w programie „Apollo" oraz eksploatacji stacji orbitalnej „Skylab" pozwoliły opracować założenia nowego pojazdu kosmicznego. Wahadłowiec wielkością dorównuje odrzutowcowi pasażerskiemu DC-9. Ma 37,19 m długości, ciężar 110 ton, a rozpiętość skrzydeł – 23,77 m. W kadłubie mieści się ładownia o wymiarach 18,5 na 5 m, w niej wahadłowiec będzie mógł transportować ładunki o masie do 29,5 t. Załogę stanowią 3 osoby: dowódca, II pilot i specjalista pokładowy. W kabinie przewidziano miejsca dla 7 osób, które będą obsługiwać urządzenia znajdujące się w ładowni lub prowadzić badania z pokładu. Przeciętnie jeden rejs trwać będzie 7 dni, przy czym na start i lądowanie przewidziano po jednym dniu. W razie potrzeby można przedłużyć rejs nawet do 30 dni. Zakłada się, że jeden pojazd będzie mógł wykonać około 100 rejsów z Ziemi na orbitę.

Napęd wahadłowca jest wielostopniowy. Do zasadniczego członu załogowego podczepiony jest zbiornik cylindryczny wypełniony ciekłym tlenem i wodorem. Do obu stron zbiornika są doczepione dwa rakietowe silniki na paliwo stałe. Ponadto jest on wyposażony w trzy silniki główne.

W Centrum Kosmicznym Kennedy'ego na Florydzie i w bazie wojskowej Vandenberg, na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, buduje się specjalne pasy betonowe do lądowania promu. Również z tych miejscowości promy będą startować.

Pierwszy wahadłowiec, oznaczony numerem 101, wystartuje w kwietniu br. Po serii prób aerodynamicznych przejdą jeszcze próby wytrzymałościowe. Numer 102 będzie już testowany poza atmosferą ziemską. A parę miesięcy później zaczną się już w miarę regularne loty na orbitę. Przebieg próbnego lotu wahadłowca przedstawiamy obok na rysunkach.

Korzyści z wahadłowca są bezsporne. A należałoby dodać, że dzięki mniejszym w nim przeciążeniom przygotowanie specjalistów-naukowców do lotu zajmie zaledwie 6 tygodni treningu. Jako ciekawostkę podam, że Amerykanie już przygotowują dla swego tramwaju przestrzennego nowych 30 astronautów, wśród których jest Amerykanin polskiego pochodzenia, płk. Karol Bobko.

Oprac. **Marek Sokołowski**
ul. Dworcowa 31/4
14-437 Olsztyn

SPACE SHUTTLE PRZED GENERALNĄ PRÓBĄ

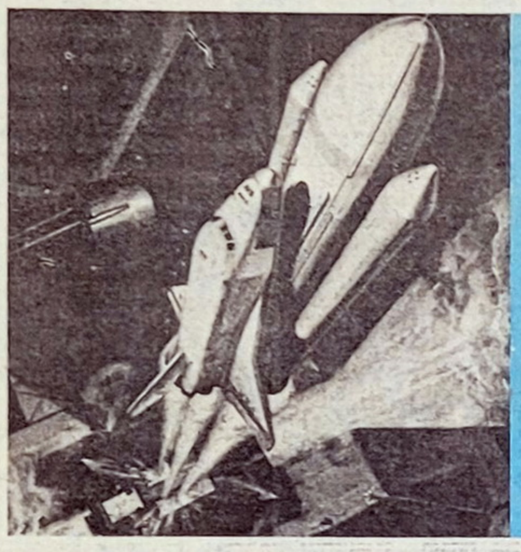

1. Start. Widoczny zbiornik z paliwem i dwoma silnikami dodatkowymi. Pracują wszystkie silniki. Masa całego zespołu – 2 000 ton.

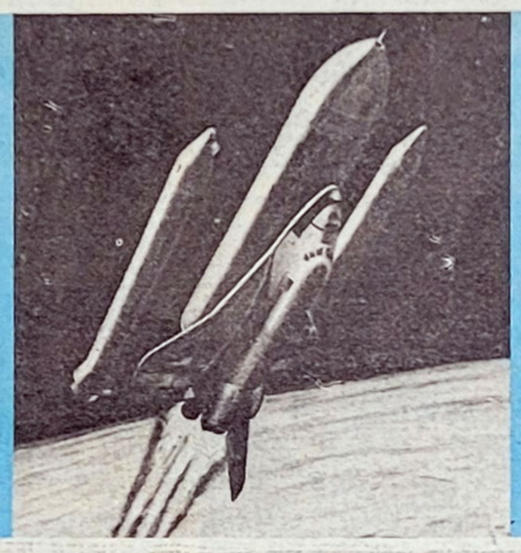

2. Wysokość 50 km, prędkość 5 200 km/godz. Silniki dodatkowe zostają odpalone i na spadochronach wracają na Ziemię. Po wylądowaniu można je będzie ponownie wykorzystać.

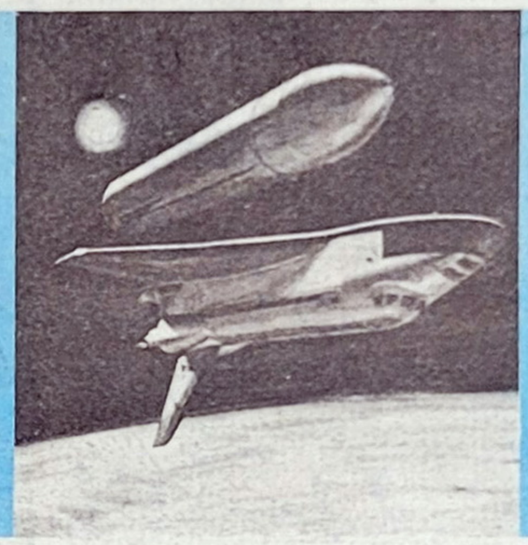

3. Zbiornik o długość 48 m i średnicy 8 m zawierał 700 ton ciekłego wodoru i tlenu. Po opróżnieniu i odpaleniu spada do oceanu i ulega zniszczeniu.

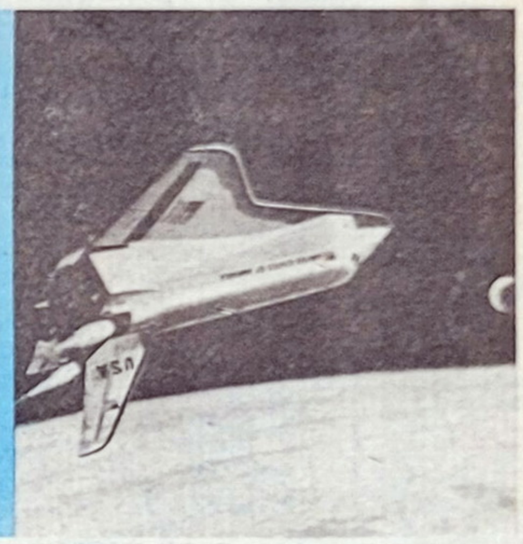

4. Wysokość 215 km, prędkość 28 tys. km/godz. Silnik główny przestał pracować. Włączają się dwa silniki orbitalne, które wprowadzają wahadłowiec na orbitę o wysokości 185–215 km.

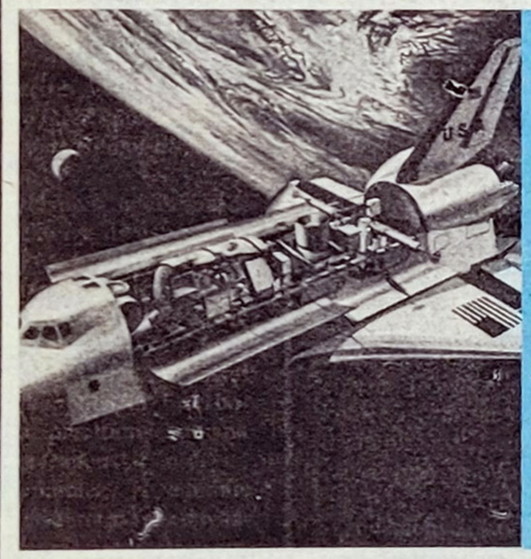

5. Zaczyna się realizacja programu. W otwartej ładowni widać laboratorium „Spacelab", które będzie wyposażoną – w zależności od programu naukowego misji – w różne instrumenty.

6. Jeśli wahadłowiec nie ma na pokładzie „Spacelaba", może zabrać do ładowni sztucznego satelitę, który od dawna krążył po orbicie. Widać wysięgnik sterowany z kabiny załogi.

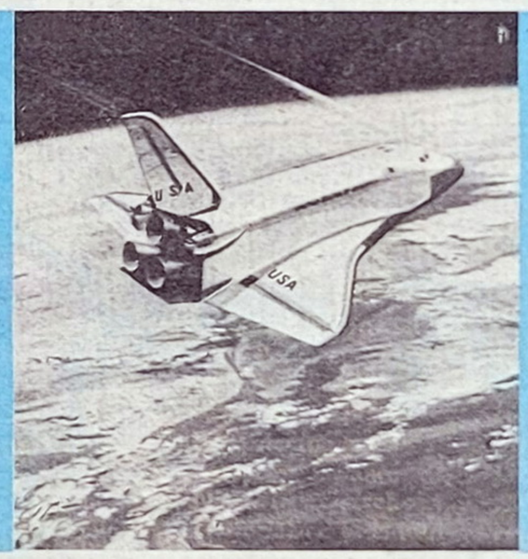

7. Powrót. Po włączeniu silników hamujących statek wchodzi w gęste warstwy atmosfery. Przód statku oraz krawędzie skrzydeł rozgrzewają się do temperatury 2 800 st. C.

8. Wahadłowiec podchodzi do lądowania. Przy zetknięciu Ziemią ma prędkość 350 km/godz. Lądować może na każdym dużym lotnisku, jednak jego bazami głównymi są kosmodromy na Florydzie i w Vandenberg.

nikt już nie miał do niego dostępu. Byle co – zaraz: Nie ruszajcie osła! Sam go nakarmię i sam napoję. Raz nawet bracia pobili się z tego powodu. Matka ukarała starszego, bo młodszy przy tym oberwał. Od tego czasu Sułtanmurat ukrywał urazę. Kiedy jednak nadszedł czas, żeby ujeżdżać osiołka, odegrał się: jeśli jest twój, to go sobie ujeżdżaj, nie proś mnie, to nie moja sprawa. Chociaż właśnie pod tym względem Sułtanmurat był mistrzem. Lubił poskramiać nieujeżdżone konie. To było trochę jak walka: kto kogo. Zawsze ujeżdżał wszystkie młode konie sąsiadów, a także byczki, osiołki. Tylko jakiś zręczny chłopak może ujeżdżać młódź. Dorośli mają za dużą wagę. Sąsiedzi zwracali się do Sułtanmurata w tych sprawach z całym szacunkiem: „Chłopcze kochany, jak będziesz miał trochę czasu, pojeźdź na naszym byczku". Albo: „Sułtanmuracie kochany, naucz rozumu naszego młodego osiołka-krzykacza. Nie pozwala nawet, żeby mucha siadła mu na grzbiecie, gryzie, kopie. Tylko ty możesz sobie z nim poradzić, nikt inny".

Nie byle jaką miał sławę, a rodzonemu bratu odmawiał i nawet śmiał się, kpił, kiedy mały parę razy zleciał z ukochanego osła na łeb i nabił sobie guza na czole. Droczył się z Adżymuratem:

– Twój osioł będzie biegał za tobą jak pies! Jeszcze dużo łez przez niego wylejesz!

Ech, jakże to było niegodziwe. Dopiero wtedy zrozumiał, kiedy ojciec wspomniał o osiołku. Ależ się wygłupił, chciał się odegrać na młodszym bracie w bardzo brzydki sposób. I teraz, gdy miał jechać do miasta, o czym młodszy brat nie wiedział, poczuł wyrzuty sumienia, taka skrucha go ogarnęła, że gotów był prosić o wybaczenie, gotów był zrobić dla niego wszystko.

Po herbacie chłopcy razem z ojcem poszli na łączkę za warzywnikiem. Najpierw zebrali i odrzucili dalej wszystkie leżące tam kamienie. Potem okiełznali Czarnogrzywego, jak Adżymurat uroczyście nazywał swojego osiołka. Ojciec przytrzymał osła za uszy, a Sułtanmurat zręcznie zarzucił mu uzdeczkę. Następnie mocniej ściągnął spodnie – czekała go niełatwa praca. I zaczęły się cyrkowe popisy. W ciągu beztroskiego okresu życia pod opieką Adżymurata osiołek zdążył nabrać narowów. Od razu zaczął brykać, podrzucać zadem, miotać się na wszystkie strony. Wiedział już spryciarz, w jaki sposób zrzucić jeźdźca. Ale tym razem – nic z tego. Sułtanmurat spadał, natychmiast jednak wstawał, w biegu wskakiwał, kładł się na brzuchu na grzbiecie osła i już po chwili siedział na nim okrakiem. Czarnogrzywy znowu stawał dęba – znowu upadek, znowu próba...

Sułtanmurat robił to wszystko zgrabnie i z humorem. Cała sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, jak należy spadać! Czemu się mówi, że upadek z osła bardziej jest bolesny niż z konia, czy wielbłąda? Zdawałoby się, że powinno być odwrotnie. Tymczasem chodzi o to, że trzeba zdążyć upaść na ręce. Koń jest wyższy, wielbłąd jeszcze wyższy, więc spadając jeździec ma dość czasu, żeby się zorientować. Z osła niedoświadczony jeździec spada jak kamień, nawet nie zdąży zdać sobie sprawy...

Sułtanmurat wiedział to z własnego doświadczenia. Można się było wcale nie bać o niego. Wszyscy hałasowali, śmieli się, coś wykrzykiwali. Ojciec aż płakał ze śmiechu i trzymał się za brzuch. Zwabieni hałasem zbiegli się różni chłopcy. Jeden miał pieska, który uważał, że też musi brać udział w całym zamieszaniu, więc z głośnym ujadaniem deptał po piętach osiołkowi. Czarnogrzywy ze strachu pędził jeszcze szybciej, a Sułtanmurat ku zazdrości wszystkich, zaczął się popisywać dżygitówką jak akrobaci powietrzni. W biegu zeskakiwał z osiołka i znowu wskakiwał, zeskakiwał i wskakiwał.

Przed wojną właśnie tak kawalerzyści ćwiczyli akrobację na łące koło rady wiejskiej. A dżygici z aułu trenowali po pracy. W skoku ścinali wierzbowe witki. W biegu zeskakiwali z siodła i znowu wskakiwali. Zdobywali odznaki. Były ładne, zawieszone na łańcuszkach, przykręcało się je śrubkami. Chłopcy im zazdrościli. Zawsze zbiegali się, żeby popatrzeć na tę dżygitówkę kawalerzystów. Gdzie są teraz? Walczą konno, czy w okopach? Podobno kawaleria nie ma już nic do roboty na wojnie.

Sułtanmurat spojrzał przez okno i pomyślał, że co prawda konie marzną w zimie, a dla czołgów chłód nie ma znaczenia, ale pomimo wszystko koń jest lepszy!

...Cóż to była wtedy za wspaniała zabawa! Wkrótce osiołek zaczął się uspokajać. Zrozumiał, czego od niego żądają: chodził stępa, cwałował, chodził w koło i prosto przed siebie.

– No, siadaj – Sułtanmurat zawołał brata. – Jazda, już w porządku!

Adżymurat aż się zaczerwienił z dumy, trącił osiołka piętami, pojeździł to tu, to tam – wszyscy teraz widzieli, jakiego ma mądrego agaja: starszego brata, czyż mógłby się nie pochwalić!

Cdn.

KAJKO i KOKOSZ

TEKST I RYSUNKI: CHRISTA

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Kazimierz Pasek, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. *Prenumerata krajowa:* miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 1250/G J-90

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Czingiz Ajtmatow

ŻURAWIE PRZYLECIAŁY WCZEŚNIE

3

Tłum. Marta Okołów-Podhorska

Tego dnia, kiedy ojciec powiedział, że weźmie go z sobą do miasta Sułtanmurat, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nie umiał opanować niecierpliwości, rozsadzała go radość, a największy kłopot sprawiało to, że nie wolno mu było z nikim o tym mówić. Gdyby Adżymurat się dowiedział, byłby starszny ryk: dlaczego Sułtanmurat może jechać, a on nie, dlaczego ojciec bierze z sobą Sułtanmurata, a jego nie? I co tu wtedy powiedzieć? Z niepohamowaną radością i oczekiwaniem jutrzejszej podróży wiązało się jakieś poczucie winy wobec brata. Bardzo go jednak korciło, żeby opowiedzieć braciszkowi i siostrzyczkom o czekającym go wydarzeniu. Miał wielką ochotę się przyznać. Ale ojciec, a zwłaszcza matka, surowo mu zabronili. Niech się młodsi dowiedzą o tym, kiedy Sułtanmurat będzie już w drodze. Tak jest lepiej. Chłopak całą siłą woli zdołał się przemóc i zachować ten sekret. Mało nie zadręczyła go na śmierć ta cała tajemnica. Za to przez caluteńki dzień był taki pilny, usłużny, troskliwy i dobry dla wszystkich jak nigdy. Wszystko robił, wszędzie zdążył. Przeprowadził i uwiązał na nowym miejscu cielaka na pastwisku, okopał ziemniaki w warzywniku, pomógł matce przy praniu, umył najmłodszą Ałmataj, kiedy wpadła w błoto i zrobił jeszcze dużo innych rzeczy. Krótko mówiąc tego dnia był taki przykładny, że nawet matka nie wytrzymała, parsknęła śmiechem i pokiwała głową.

– Cóż to się stało? – mówiła opanowując śmiech. – Gdybyś zawsze był taki, to dopiero byłoby szczęście! Żeby tylko nie uroczyć! A może nie puścić cię do miasta? Taki z ciebie dobry pomocnik.

Ale to oczywiście tak sobie, na niby. W istocie zrobiła ciasto, upiekła placków na drogę, nawarzyła różnego jadła. Natopiła masła, też na drogę, wlała do butelki.

Wieczorem cała rodzina piła herbatę z samowara. Była śmietanka, gorące placki. Wszyscy siedzieli na dworze, koło aryku*, pod jabłonią. Koło ojca usadowiły się młodsze dzieci – z jednej strony Adżymurat, a z drugiej – dziewczynki. Matka nalewała herbatę, a Sułtanmurat podawał pijale**, dosypywał węgli do samowaru. Robił to wszystko z przyjemnością. I wciąż myślał o tym, że nazajutrz będzie już w mieście. Ojciec parę razy mrugnął do niego. Nie dość na tym, nawet go nabrał w obecności Adżymurata.

– Jak tam, Adżyke – zwrócił się do młodszego syna popijając herbatę – ujeździłeś już swego Czarnogrzywego?

– Nie, Ata – poskarżył się mały. – Jest taki nieznośny. Chodzi za mną jak piesek. Karmię go, poję, raz nawet przybiegł pod szkołę. Stał przy oknie, czekał, kiedy wyjdę na przerwę, cała klasa widziała. A wsiąść na siebie nie pozwala, zaraz mnie zrzuca i wierzga...

– A nikt nie może pomóc ci ujeździć go jak należy? – niby od niechcenia zapytał ojciec z żalem.

– Ja to zrobię, Adżyke – natychmiast zaproponował Sułtanmurat. – Sam ci go ujeżdżę...

– Hura-a! – mały aż się zerwał z miejsca. – Chodźmy!

– Nie, nie, siadaj! – przytrzymała go matka. – Siadaj, uspokój się. Wypijcie po ludzku herbatę, jeszcze zdążycie.

Chodziło o dwuletniego osiołka, ulubieńca Adżymurata. Wiosną tego roku podarował go dzieciom wuj ze strony matki – Nurgazy. Do lata osiołek sporo urósł, nabrał siły. Czas już by ujeżdżać kłapoucha, przyzwyczajać do siodła, do roboty. Przecież w gospodarstwie domowym zawsze się przyda taki osiołek – to pojechać do młyna, to po drzewo na opał, to po jakieś drobiazgi. Dlatego wuj Nurgazy go podarował. Ale od pierwszej chwili zawładnął nim Adżymurat. Uparty, hałaśliwy chłopak otoczył osiołka taką troskliwością i opieką, że

Dokończenie na str. 7

* *aryk – nazwa rowu melioracyjnego w Azji Śr.*

* *pijala – naczynie do picia herbaty bez uszka*